



Nr. 1.

Śwów w Styczniu 1901 roku.

Rok II.



pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w trzecią niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

Marja Wysłouchowa.

Prenumerata wynosi:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasjdy Kulikowskiej.

➔ Z Nowym Rokiem. **Biblioteka Czytelni**
IM. M. L. BORELWSKIEGO
w PRZEMYSŁU.

Chwała Bogu, już Rok Nowy
Zawitał na naszą ziemię;
Podnieś, ludu, w górę głowy,
Niech opadnie smutku brzemię.

Z silną wiarą w lepsze czasy
„Zorza“ przyświeca wesotó
Ponad góry, ponad lasy,
Wita chatkę, wita siotó.



Temu siotó i tej chatce
Chce ogłosić swe życzenie, —
A szczerotó jej dawno znacie,
Z nowym rokiem jej nie zmienia.

Z nowym rokiem życie stóre
Porzucicie, bracia rodacy,
Miłotó, zgodę, polską wiarę
Do waszej przytótócie pracy.

„Zorza“ promyk jasny rzuci
W najciemniejsze życie wasze —
J do czynu was ocuci,
Hej, do czynu, dzieci lasze!

Wojciech Zawada, wł. z Dąbrowicy.





Jubileusz Sienkiewicza.



Szeregiem wspaniałych a radośnych uroczystości na cześć Henryka Sienkiewicza zakończył się rok ubiegły we wszystkich ziemiach polskich.

Ile może być dowodów miłości i hołdu, tyle ich złożono dostojnemu Jubilatowi, aby wyrazić mu wdzięczność za to, co uczynił dla narodu. Uczynił bardzo wiele. Najwyższem jednak

dziękczynieniem bić dłoń będą wszystkie serca po wszystkie czasy za to, że pisma jego wnoszą światło wielkich uczuć do chat, do warsztatów. Lud wiejski i miejski czyta u nas powieści historyczne Sienkiewicza z takim zapalem, jakiego dotąd nie budziła w nim żadna książka — poznaje z nich przeszłość swego narodu i uczy się kochać ojczyznę.

— Wiecie, kto u nas pierwszy rozbudził narodowość? — Naisto Henryk Sienkiewicz — upewniał mię prezes Kółka rolniczego w wiosce śląskiej, kryjącej się, jak szczęście, za górami — zdala od świata. I jał wnet opowiadać piękną swoją gwarą, jako to oni, gazdowie ze śląskich gór, będąc na odpuszcie w Częstochowie, udali się z prośbą do zdziwionych OO. Paulinów o pokazanie im bramy, przez którą uciekał Kmicie, główna osoba w powieści Sienkiewicza p. t. „Potop“.

— I nie dali my spokoju, ażechmy uwidzieli — kończył zacny Ślązak opowiadanie. — Chwilę, długą chwilę stali my u tej bramy i gwarzyli, jak to Jan Kaźmir

wandrował przez Śląsko, jakich wojaków sławnych miała Polska... Gwarzyli też i o tem, jak to dobrze, jaka to cześć być Polakiem...

A oto inny przykład:

O wiele mil od kamienistych gór śląskich, na północ, daleko, czernieją pszenne grunta, świecą jasne stawy Wołynia. Na Wołyniu, jak i wszędzie pod rządami cara, nie wolno szerzyć oświaty wśród ludu, nie wolno dawać właścicielom książek i gazet do czytania. Czynią to jednak ludzie dobrej woli potajemnie, wbrew zakazom cara, narażając się na przesładowanie rządu. Taką właśnie drogą tajemną dostała się powieść Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem“ do rąk pewnego gospodarza. Czytał ją z przejęciem, przez całą prawie noc, a wnet po przeczytaniu udał się do osoby, od której miał tę książkę.

— O pani, — mówił głęboko wzruszony — nie wiedziałem, nie rozumiałem, dlaczego pani tak się troszczy o nasze dobro, dlaczego rozdaje nam książki i gazety, za własne pieniądze kupione, choć może za karę dostać się do więzienia, lub na Sybir. Wyznaję, nieraz nawet z nieufnością, z niedowierzaniem na to patrzyłem. Ale teraz wszystko już wiem, wszystko rozumiem: Pani tak postępuje przez miłość Ojczyzny, podobnie jak Skrzetuski i inni rycerze przelewali krew, szli na wrogów i w śmierć przez miłość Ojczyzny, — dlatego, aby Polska była wolna... Oh, proszę mi darować moją nieufność...

Zaprawdę: sławny pisarz, co takie uczucia budzi w sercach gnębnego ludu, ma prawo do wdzięczności całego narodu.

Wyraz temu uczuciu dały właśnie uroczystości jubileuszowe. Odbywały się one po wszystkich większych miastach polskich, ale w małej naszej gazetce załędwie mogą opowiedzieć Wam pokrótce, drodzy Przyjaciele, jak obchodzono święto Sienkiewicza w stolicach naszych: w Warszawie, Poznaniu, Lwowie i Krakowie.

Obchód jubileuszu w Warszawie.

Dzień 22. grudnia, dzień jubileuszowy, rozpoczął się w Warszawie od nabożeństwa uroczystego w kościele św. Krzyża, wypełnionym publicznością wszystkich warstw i stanów. Poczem jubilat w otoczeniu rodziny i przyjaciół udał się na ratusz. Sala ratuszowa, wspaniale przybrana, wypełniona już była publicznością, która powitała jubilata gromkimi oklaskami i zarzuciła go mnóstwem najpiękniejszych kwiatów. Chór towarzystwa śpiewackiego „Lutni“, złożony z 260 głosów, zaśpiewał pieśń do słów jubilata „Wierście, ryccerze...“

Gdy śpiew ucichł, zabrał głos ks. biskup Ruszkiewicz i w szczerem przemówieniu złożył hołd zasługom jubilata, prosząc go, aby przyjął miłym sercem wioskę Obłęgorek, którą zakupiono dla niego za 75 tysięcy rubli (200 tysięcy z górą koron) z drobnych składek czytelników polskich. „Ufamy — mówił ks. biskup — iż dar będzie Ci miłym, bo go ofiaruje nasze społeczeństwo, bo płynie z tysiąca serc, miłujących wszystko, co swoje i ceniących Twe prace. Cichy zakątek ziemi, po której stąpać będziesz, i szmer liści drzew, w których cieniu będziesz szukał odpoczynku wśród prac umysłowych, będą Ci przypominały tyłu wdzięcznych, którym Twe pisma podnosiły duszę i koili serca. Składamy Ci zarazem serdeczne życzenia, aby Ci Ojciec Świątłości długie lata pozwolił pracować dla dobra i chwały kraju...“

Przy ostatnich słowach ks. biskup wręczył Sienkiewiczowi tekę skórzaną w okuciach brązowych, zawierającą akt własności Obłęgorka, a chór „Lutni“ zaśpiewał wśród oklasków piękną pieśń:

Cichy domku modrzewiowy,
Otoczony cieniem drzew...

Potem jęły się zbliżać kolejno deputacje, wręczając adresy w okazałych furałach. Deputacji tych było mnóstwo.

Wymienię tu, dla braku miejsca, tylko najważniejsze lub najmiłsze sercom polskim. A więc składali hołd przez swoich delegatów: Akademia Umiejętności, Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet lwowski, Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, Od obywatelstwa i stowarzyszeń w Poznaniu, Tow. naukowe w Toruniu, Kasa literatów i dziennikarzy, Od OO. Paulinów z Częstochowy, Od kobiet warszawskich (brylantowe pióro), Od Polaków z Wilna, Od Polaków Infant i Witebska, Od Polaków z Moskwy, Od Polaków z gub. kijowskiej, Od Polaków z Żytomierza, Od górnoślązaków, Od Czechów i Morawian z kilku tysiącami podpisów, Od Słowaków, Od prasy amerykańskiej w Chicago, Od „Dziennika Poznańskiego“ i t. d.

Wzruszony tyłu objawami uznania i hołdu, jubilat przemówił, jak następuje: „Trudno mi wypowiedzieć słowami, jak dalece wzrusza mnie dzień dzisiejszy i wszystko, co mnie w nim spotyka. Ja, który z powodu prac moich dużo zajmowałem się przeszłością, z najgłębszym rozrzewnieniem przypominam sobie, że w dawnych czasach tak nagradzano wojowników na polach bitew. Dziś jednak trzeba przedewszystkiem służyć społeczeństwu codzienną, długą, wytrwałą pracą. I właśnie tę pracę moją kraj wynagradza w sposób najwspanialszy, najszlachetniejszy i najzgodniejszy z naszą tradycją, bo wynagradza ziemią. Nic nie przychodzi bez trudu, zatem i ja musiałem tworzyć w pocie czoła, ale rzec mogę, że Bóg błogosławił mojej pracy. Zyskałem miłość swoich, uznanie obcych, a nawet względny dostatek — brakło mi tylko jednego: ziemi naszej, tej ziemi, z której wyrosliśmy wszyscy, która jest i będzie niewzruszoną podstawą życia i nieśmiertelną walką pokoleń. Aż oto wzywa mnie tu mój kraj — i ofiaruje mi szmat tej naszej ziemi, dla której pracowałem — ofiarując ją dla mnie i dla moich dzieci. Dar to wielki, dar dla serca i duszy zarazem! W pracy, w zmęczeniu i wyczerpaniu przychodzi czasem chwile zwątpienia, czy te wysiłki, które się ponosi, są pożyteczne, czy ten chleb, który się podaje, jest zdrowy i pożyteczny. A wy tym darem przynosiscie mi uspokojenie. Kościół przez twoje usta, dostojny kapłanie, powiada mi: „potykaniem dobrem potykałeś się“ — kraj mówi przez was, panowie: pracowałeś rzetelnie, dawałeś chleb zdrowy, a oto ta

ziemia, którą ofiaruję — niech ci będzie świadectwem służby. Co za szczęście, co za uspokojenie, jakie wspomnienie dnia tego dla mnie i dla mych dzieci po wszystkie dni ich życia! Gdzie znajdę słowa tak silne, jak moja wdzięczność

Wieczorem tegoż dnia odbyło się uroczyste przedstawienie w teatrze. Najpierw muzyka zagrała ślicznego poloneza, a potem chór towarzystwa śpiewackiego „Lutnia“, odśpiewał śliczną „Pieśń dożynkową“, której pierwsze zwrotki brzmią, jak następuje:



HENRYK SIENKIEWICZ

za tę ziemię i za te wszystkie dary? Z serca wrywa mi się tylko okrzyk: dzięki krajowi, dzięki wam, panowie z komitetu, którzyście nie żalowali trudów i pracy dla uwiecia tego wieńca — i niech żyje, niech kwitnie to wielkie serce ogólne, które tak umie czuć i tak wynagradzać!*

W odpowiedzi zerwała się prawdziwa burza oklasków, przerywana okrzykami: *Vivat!* Uroczystość na ratuszu zakończyła się potężną pieśnią lutnistów: „Niech żyje nam!

Chór.

Zabrznij, pieśni, jako dzwon,
Poleć chyżo wzdłuż i w szerz,
Wdzięczne głosy serca zbierz:
Plon niesiemy, plon!

Zabrznij, pieśni, ze wszech stron,
Rozpłoń się wśród bratnich technień,
Uroczysty dzisiaj dzień:
Plon niesiemy, plon...

Poleć aż przed Boga tron,
Zmień się w blaski, ciepło, woń
I na sławne gody dzwoń
Plon niesiemy, plon!..

Po muzyce i śpiewie odegrano jednokrotnie komedię Sienkiewicza pod tytułem: „Zagłoba swatem“. Zaczem przedstawiono kilka żywych obrazów z powieści jubilat.



Święto Sienkiewicza w Poznaniu.

Poznań, sławna stolica Piastów, święcił niemniej uroczystości od innych miast jubileusz znakomitego pisarza. Przez cztery wieczory grano w teatrze poznańskim sztuki dramatyczne, ułożone z powieści Sienkiewicza: „Potop“, „Ogniem i mieczem“, „Pan Wołodyjowski“, „Ta trzecia“. Najwspanialej jednak wypadł obchód w sam dzień jubileuszu, 22 grudnia. W dniu tym odegrano „Zagłobę swatem“, a także inną sztukę sceniczną Sienkiewicza pod tytułem „Czyja wina?“. Był też i obraz z żywych osób dla złożenia hołdu jubilatowi, deklamowano poezje na jego cześć, a w końcu odczytano przedziwnie piękną powiastkę p. t. „Za chlebem“. W powiastce tej Sienkiewicz opowiada, z ogromnem współczuciem a cudnie, o smutnych losach wiejskiej dziewczyny, Marysi, która pojechała ze starym ojciem daleko, za morze, do Ameryki „za chlebem“...



Uroczystości Sienkiewicza we Lwowie.

Dwukrotnie obchodzono święto Sienkiewicza we Lwowie.

W sam dzień jubileuszu⁴ w teatrze, gdzie wygłoszono mowę, a także poezję na cześć jubilat i odegrano jego komedię: „Zagłoba swatem“. 14. zaś grudnia odbył się w sali „Domu narodnego“ piękny wieczór Sienkiewiczowski, na którym, między innymi, utalentowany artysta dramatyczny, p. Fiszer, wygłosił „Sabałową bajkę“. Napisał oną bajkę Sienkiewicz wedle słów Sabały, starego, mądrego górala ze wsi Zakopanego w Tatrach.

Powtarzamy ją tu w całości. Dla czytelników z Podhala będzie ona miłą pamiątką po ukochanym, a zmarłym przed dwoma laty Sabale, innym zaś da poznać piękną gwarę tatrzańską i głębokie myśli, które się gnieździły w głowie niepospolitego górala.



Sabałowa Bajka.

Raz seł chłop ze świadrem i rąbanicą do Nowego Targu na siacie. Jakoś za Poroninem stowarzyszyła się z nim stara baba.

Chłop, że był mądry gazda, poznał Śmierć i zara myśli, jako się jej pozbyć. Wzion wręście wiercić dziurę do wirby, wiercił, póki nie wywiercił, a potem w nią zagląda.

— Cego patrzys? — pyta Śmierć.

— Chces uznać, to sama zażrzyj.

Zażrzała Śmierć do dziury, nie widzi nic — a bez ten czas ociosał se chłop rąbanicą bukowy kołek.

— Nie widzę nic, — powieda Śmierć.

— Wleż całkiem, to obacys.

Ledwie Śmierć wlaźła całkiem, zatkał ci ją chłop — prosem piknie — bukowym kołkiem, przybił kołek obuchem i poseł.

Aż tu rok po roku idzie, chłop zyje i zyje; ludziska przestali umierać; zajązilo się od nich w Zakopanem, w Białym Dunajcu: w Chochołowie, wsędy, ze cłek koło cłka stał, jako smereki stojom w borze. Chłopisko się zestarzało, bieda pocena go gnieść, robić juz nie mogło. Naprzykrzyło mu się w ostatku żyć, poseł i odełkał Śmierć z wirby.

Jak Śmierć — prosem piknie — skocy, jak weźmie kosić — w Zakopanem, w Białym Dunajcu, w Kościeliskach, w Chochołowie, to tela się luda wykopyrtło, ze i chować gdzie nie było. Przychodzi wręście Śmierć do jednej gaździny wdowy — siedmioro sierot u niej — i biere ją. A tu dzieci, kiej nie zacnom lamentować;

— Nie bier matki, nie bier matki!

Zlutowała się Śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powieda:

— Panie Boze, jakoze mnie matkę brać, kiej dzieci tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Bóg powie tak :

— Ja w tych rzeczach nie gazda, jeno Pan Jezus gazda. Idź ze do Pana Jezusa, niech ci ta powie, jako ma być.

Przychodzi Śmierć do Pana Jezusa i powie:

— Panie Jezu, jakoze mnie gaździnę brać? — siedmioro sierot w chałupie — tak prosom, tak lamentujom, aze mi się luto stało.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk:

— Chybaj do morza, przynieś skalę!

Skoczyła Śmierć do morza, na samiu-sienkie dno, przyniosła skalę kwardom, okrągłuchnom, jako bochenek chleba, a Pan Jezus do niej:

— Gryź!

Gryzie Śmierć, gryzie — zębiska ją bolom; zgryzła wręście calusieńkom skalę — i patrzy: az w środku chrobocek małuški siedzi.

A Pan Jezus prask Śmierć w pysk:

— Widzis, powie: to ja i o tym małuškim chrobocku, na dnie morza, wiem i pamiętam; a ty myślis, ze ja o sierotach nie będę pamiętał? — Chybaj, bier matkę!



Hołd Krakowa jubilatowi.

Podobnie, jak inne miasta, i Kraków święcił uroczystość Sienkiewiczowską w przybytku sztuki, w teatrze. Program obchodu był mniej więcej ten sam. Muzyka, marsz tryumfalny, odegrany przez orkiestrę, — obraz, ułożony z żywych osób, komedia „Zagłoba swatem“, chóralny śpiew „Pieśni dożynkowej“. Jedno tylko było odmienne, a bardzo piękne, najpiękniejsze. Oto artysta dramatyczny, p. Józef Popławski, odczytał powiastkę pod tytułem „Janko muzykant“. Sienkiewicz był jeszcze bardzo młody, kiedy pisał tę powiastkę, a szlachetne, młodzieńcze serce jego było gorącym współczuciem, dla ludu wiejskiego i niemniej gorącym oburzeniem dla tych, co mogąc, nie spieszą do chat z bratnią pomocą, z sercem bratnim. Ta święta miłość, współczucie i oburzenie znalazły wyraz w „Janku

muzykancie“, który odrazu rzucił czar na słuchaczy i zdobył ich uwielbienie dla Autora. Najwdzięczniejszych jednak czytelników „Janko muzykant“ znajdywać będzie zawsze wśród tych, których życie odtwarza: wśród ludu. Niech-że więc idzie, jako najwymowniejsze echo jubileuszowe do chat, aby tam budzić wdzięczną miłość dla Autora, uczynić jego imię jeszcze bardziej znanem i drogiem.



Janko Muzykant.

Przyszło to na świat wątłe i słabe. Kумы, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była majmądrzejsza, poczęła chorą pocieszać:

— Dajta, — powie — to zapalę nad wami gromnicę, juże z was nic nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodziejaby posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

— Ba! — powie druga — a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a — powie — błogo będzie, co choć i strzygą nie ostanie.

Tak mówiąc, zapaliła gromnicę, a potem wzięwszy dziecko, pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrużyć, i rzekła jeszcze:

— Ja ciebie „krzęc“ w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego i daję ci przerwisko Jan, a teraz-że duszo „krześcijańska“ idź, skądś przyszła. Amen.

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła, i opuszczać chuderlawego ciała, owszem poczęła wierzgać nogami tego ciała, jak mogła, i płakać, chociaż tak słabo i żalostnie, że, jak mówiły kумы: „Myślałby kto, kocię, nie kocię, albo co!“

Posłano po księdza, przyjechał, zrobił swoje, odjechał: chorej zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwo „zipał“, ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukulka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakim takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne wytrzeszczone oczy, patrzące na świat, jakby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i popłakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie mieli co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie, przepasanej krajką i w słomianym kapeluszu, z pod którego obdartych skrzydeł spoglądał, zadzierając jak ptak, głowę do góry. Matka, biedna komornica, żyjąca z dnia na dzień, niby jaskółka pod cudzą strzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale była dość często i zwykle nazywała „odmieńcem“. W ósmym roku chodził już jako potrządka za bydłem, lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i, jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi palec do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Nie wiadomo skąd się to takie ulęгло, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrosł, tak już o niczem innem nie myślał. Pójdzie, bywało, do boru za bydłem albo z dwojakami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi, szepleniąc:

— Matulu! tak ci coś w boru „głało!“
Oj! oj!.

A matka na to:

— Zagram ci ja, zagram! nie bój się!
Jakoż czasem sprawiała mu warząchwę muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w boru grało... Co? albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór i basta!

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupką ćwirkotały wróble, aż się wisznie trzęsły! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucił, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył: i odpasawszy rzemyka, dał mu dobrą pa-

miątkę. Ale na co się to zdało! Nazywali go ludzie „Janko muzykant!“... Wiosną uciekał z domu kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burczeć; gdy koguty piałły po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał, i Bóg go jeden wie, jakie on i w tem nawet słyszał granie.... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jakby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka, co chodził nocą po wsi i aby nie zasnąć liczył gwiazdy na niebie, lub rozmawiał pocichu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko przed karczmę. Tam, przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał! „U-ha!“ Słysząc było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: „Czegóż?“ Skrzypki śpiewały cicho: „Będziem jedli, będziem pili, będziawa się weselili“, a basetła grubym głosem wtórowała z powagą: „Jak Bóg dał! jak Bóg dał!“ Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał!...

Coby on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki, grające cienko: „Będziem jedli, będziem pili, będziawa się weselili!“ Takie deszczułki śpiewające! Ba, ale skąd ich dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzie tam! Wolno mu tylko było słuchać, to też i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim w ciemności:

— Nie pójdziesz-że ty do domu, utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swoich bosych nogach do domu; a za nim biegł w ciemnościach głos skrzypiec: „Będziem jedli, będziem pili, będziawa się weselili“ i poważny głos basetli: „Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!“

Gdy tylko mógł usłyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakim, to już dla niego było wielkie święto. Wlazł potem za piec i nic nie mówił po całych dniach, spoglądając, jak kot, błyszczącymi oczyma w ciemności. Potem zrobił sam sobie skrzypki z gonta i włosienią końskiego, ale nie chciały grać tak

pięknie, jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak myszki jakie, albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że w końcu wyglądał, jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka te już była jego natura. Dziecina chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstsza i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był, jak inne dzieci; był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednówku przystem przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypec lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać panie służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami, aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Więc tam chłopak duszę swoją całą wysyłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało, że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożałował ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej.... Biedne małe chłopskie serce drżało na tę myśl zeszczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo oddawna siedzieli za granicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już oddawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wchodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i w końcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególnież wypukłe zgięcia oświetlone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kołeczki przy niej świeciły, jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek, nakształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie; Janek też patrzył coraz chciwiej. Przykućnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartymi ustami, patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzewyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale te skrzypce w jasności czasem zdawały się przybliżać, jakoby płynąć ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźne czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załopotały łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał:

— Idź, Janku! w kredensie niema nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywał cicho, to głośniej: „Idź! pójdź! weź!” Lelek pocziwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: „Janku, nie! nie!” Ale lelek odleciał, a słowik został i łopuchy coraz wyraźniej mrucały: „Tam niema nikogo!” Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt zwolna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichutkenko pogwizdywał: „Idź! pójdź! weź!”

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu kredensowym słyhać szybki oddech chorych piersi dziecka. Czwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Napróżno, lelku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: „Nie! nie!” Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jak gdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zaroślach, a teraz był, jak dzikie zwierzątko w pułapce. Ruchy jego stały się nagłe, oddech krótki i świszający, przystem ogarnęła go ciemność. Cicha letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświetliła raz jeszcze wnętrze kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami z głową, zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przysłoniła chmurka, i nie już nie było widać ani słyhać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął — i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu, spytał gniewliwie:

— Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh! Boże! Słychać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: „O! dla Boga!“, szczekanie psów, bieganie światła po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonymi zalękłymi oczyma, mały, chudy, zamorusany, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą... Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać, czy jak?... Trzebaż przytem mieć trochę miłosierdzia nad dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da różgą, żeby na drugi raz nie kradł, i cała rzecz.

— Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

— Weź go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzającą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka, i wyniósł ku stodołce. Dziecko, czy nie rozumiało o co chodzi, czy się zalekło, dość, że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim robią? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i podgiąwszy koszulinę, machnął od ucha, dopiero Janek krzyknął:

— Matulu! — i co go stójka różgą, to on: — „Matulu! matulu!“ — ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem uciło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne potrzaskane skrzyпки!...

— Ej, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jas. ólki świegotały w czereśni, co rosła pod przyźbą; promień słońca wchodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochraną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopaka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szerepą słoneczną drogą, bo za życia szła prawdziwie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszały się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasłuchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta, wracające od siana, śpiewały: „Oj na zielonej, na runi!“ a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzyпки z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

— Matulu?...

— Co, synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy.

— Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzyпки?

— Da ci, synku, da! — odrzekła matka; ale nie mogła mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żalność, więc jęknawszy tylko: „O Jezu! Jezu!“ — padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania...

Jakoż nie wydarła go, bo gdy podniósłszy się, spojrzała znowu na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

Pokój ci, Janku!





—* Ofiary Polki. *—

Miałam srebrne schowadelko,
W niem złote szydełko,
I naporstek szczerozłoty,
Przedziwnej roboty.
Kiedy przyszło dawać składki
Dla braci na życie,
Schowadelko ze szufladki
Wydobyłam skrycie
I oddałam w ręce człeka,
Co te składki zbierał;
Brodę miał białości mleka,

Kijem się podpierał.
„Bóg ci zapłaci, gołąbeczko,
Rzeczce starzec rzewnie,
A ja trzymam za słóweczko:
Bóg zapłaci pewnie.

Miałam perły od babuni,
Cztery białe sznurki,
Dla dziewuni, dla Ewuni,
Dla maminej córki.
Ale-m się w nie nie stroiła,
Nie miałam na sobie,
Odkąd matka mi mówiła,
Że Ojczyzna w grobie...
I że Polsce nie przystoi
Taki strój bogaty,
Pokąd kraj się nie przystroi
W narodowe szaty. —
Przyszła potema druga składka,
Znów dziadek w podwórko;
Zawołała na mnie matka:
„A ty, co dasz, córko?“
A ja, dziewczę jasnowłose,
Moje perły niosę.
„Bóg ci zapłaci, gołąbeczko“ —
Rzeczce dziadek rzewnie,
A ja trzymam za słóweczko:
Bóg zapłaci pewnie.
Miałam suknię atlasową,

Nietykaną, nową,
Suknię białą, szal pasowy,
Nietykany, nowy;
Przyszła wieść, że Polska wstaje,
Sztandar bierze w ręce,
Jaka taka wszystko daje:
Poprulam sukienkę.
Moja suknia, z moim szalem,
Zeszyta w dwa bryty,
To ten sztandar przed Moskałem,
Na polu rozwity:
Srebrny orzeł, z srebrnej lamy,
Co-m miała od mamy,
Matkę Boską haftowałam,
Jak mogłam, umiałam.

Pokochałam Jasia wcześniej,
Jeszcze jak był mały,
I marzyłam o nim we śnie,
Marzyłam dzień cały.
Przyszli nasi, zawołali:
„Jasiu, na Moskali!“
I poleciał, niby ptaszek,
Na te pola nasze.
Poszedł drogą, jak ta rzeka,
Jak ten las się chmurzy;
Ewcia czeka, nie narzeka,
Bo Jaś Polsce służy.



„Czy piekliście szezodraczki, bochneczki? — Dajcież i nam: nagrodzi Was Pan Jezus i święty Jan!“,



Listy do „Zorzy“.

Landok na Spiżu, 25. grudnia 1901.

Z naszego Landoku na Spiżu zasylamy serdeczne podziękowanie za książki i gazetki. Przekonaliśmy się teraz, że są ludzie, co z duszy i ze serca pragną, aby lud wiejski był oświecony. Bo nam trza koniecznie wiedzieć, że jesteście narodem polskim i czem nasz kraj ukochany był dawniej, a czem jest teraz. Och! mój Boże, serce nad tem ubolewa! Byliśmy jednym z pierwszych narodów w Europie, a tera!.. Byliśmy jako kopiec mrówek, lecz przyszli nieprzyjaciele i rozburzyli nam kopiec, a my rozeszliśmy się, jako mrówki, po całej ziemi. Co do tego spowodowało, nie chcę dziś o tem mówić. Czas teraz świąteczny, radośny, więc powiem jeno, że przeliera nam się przez chmury dzisiaj słoneczko, które przez kilkadziesiąt lat było pod chmurą. Umiemy dziś z tej jasności słonka korzystać i staramy się o oświatę, bo ona jedna podnosi narody.

Dotąd u nas starano się o gorzelnie i propinacje, które są zaporą do oświaty, a sidlami na majątki włościańskie. Więc i lud nasz, nie nauczony, żałuje grosza na oświatę, ale nie żałuje go na pijatykę i częste jarmarki, na których 10 razy więcej grosza utracą, niżeli książki i gazetki kosztują.

Na zapytanie z „Zorzy“, czy daję innym do czytania te książki, co je mam, powiem tak: Są tu i inne wsi sąsiednie koło nas, na wychód słońca jest Wyborna, a na zachód są Rakusy, ale obie te wsi są niemieckie całkiem i nie umieją polskiej książki ani też gazetki przeczytać. Ino co haw w Landoku przychodzą do mnie czy gazdowie, czy parobcy i biorą często książki i czytają, ale mówią, że nie wszystko rozumieją, co tu jest opisane, to zaś ja im dokładnie tłómaczę o czem ta książka, a o czem tamta. Ale są i tacy, co wezmą książkę do domu i cały miesiąc albo i dwa miesiące trzymają i dadzą dzieciom się

bawić, a dzieci potargają i spohanią książkę, a gdy się upominam dadzą, mi pięć albo dziesięć kart z niej, albo i próżne okładki, a nie się sami nie dowiedzieli z niej. O, takim niedbałym będę teraz czytał, co nasza gazetka „Zorza“ pisze, ile trudu, pracy i sił kosztuje napisanie i wydrukowanie książki.

I ja wprawdzie nie jestem uczony w szkole, a to, co umiem, to z łaski Boga i z mojej ciekawości, ale i za to Panu Bogu dziękuję, bo przynajmniej wiem, że jestem prawdziwym Polakiem, na polskiej ziemi zrodzonym i chciałbym tego ducha narodowego, co go sam mam, w każdego sąsiada wpoić, żeby przestali mówić, żeśmy węgierskimi...

A całą tę oświatę i te wiadomości skądże mam? Z czytania książek i gazet. Toć dla tych wszystkich, co piszą w naszej najmilszej gazetce „Zorzy“ ułożyłem w dzisiejszym dniu świątecznym powinszowanie Nowego roku 1901.

Jak wysokie góry, lasy — błogosław pracy
[waszej!]

Ile gwiazdek jest na niebie, ile świętych pańskich
[w niebie,

Jak głębokie pełne morze — błogosław ich, pa-
[nie Boże!]

Ile minut w każdym roku, ile piasku w mor-
[skiem oku,

Co narodów jest i być może — błogosław Ich
[panie Boże

Co promieni w słońcu stoi, ile prochu w nich
[się roi,

Jaką wonność ma to zboże — błogosław Ich, panie
[Boże!]

Te dzisiejsze me życzenia istnieć będą prz. z skoń-
[czenia :

Niech łaskawy Bóg dać raczy, — jeżeli w niebie
[Im przeznaczył, —

Szczęścia, zdrowia, powodzenia, a po śmierci dusz
[zbawienia, —

Dusz zbawienia, królowanie racz dać, Jezu Chry-
[ste panie,

Po wsze wieki, przez wiek cały, aż na wieki
[wieków — amen.

Jakob Bednarczyk.





Rozmaitości.

Dnia 22. stycznia przypada rocznica walki narodu polskiego z carem rosyjskim o wolność. Walka ona wybuchła w 1863 r., w styczniu i dla tego znana jest w historii pod nazwą powstania styczniowego. Powstanie styczniowe miało cel dwójaki: po pierwsze: uwolnić lud wiejski, który pod panowaniem cara pozostawał jeszcze w poddaństwie, a potem, po drugie: przy pomocy wolnego już ludu wywalczyć orężem wolność całej ojezyny, którą wrogowie rozdarii i ujarzмили po upadku Kościuszkowskiego powstania w r. 1794.

Wielkie cele powstania styczniowego czynią je drogim wszystkim sercom szlachetnym. To też w dniu 22. stycznia naród polski składa hołd i samą walce i bohaterom, którzy dali basło do niej, którzy w niej zginęli śmiercią męczeńską.

Szlachetnych, mądrych, wielkich ludzi miała natenczas Polska! Potrafili oni toczyć — nieraz zwycięską — walkę z potężnym carem przez 18 miesięcy bez wojska regularnego, bez broni...

Cały naród, we wszystkich swoich warstwach, dawał wówczas dowody bezprzykładnego poświęcenia i wielkości ducha. Pod koniec zwłaszcza powstania, kiedy młodzież szlachecka krwawym pokosem zaległa ziemię, szły w bój coraz liczniejsze zastępy mieszczan i włościan. W szczęśliwszych okolicach Królestwa Polskiego i Litwy, w których oświata była większa, lud wiejski walczył za wolność tak mężnie, z takim zapalem i bohaterstwem, jak włościanie w Wielkopolsce w roku 1848.

I kobiety polskie nie ustępowały ojcom, braciom, mężom w miłości i poświęceniu dla ojezyny. Hołd ich enocie, ich gotowości do wyrzeczenia się wszystkiego, byle ojezyna była wolna, składa właśnie poeta, Teofil Lenartowicz, w pięknym wierszu pod tytułem „Ofiary Polki“. Wiersz ten przeczytajcie uważnie, drodzy Czytelnicy, w dzisiejszym numerze „Zorza“.

Trzej królowie a korona Polska. Wielki poeta, Juliusz Słowacki, umieścił w utworze swoim pod tytułem „Balladyna“, napisanym dla teatru, bajeczną wprawdzie, ale przepiękną opowieść o pierwszej koronie polskiej. Wedle tej

opowieści jeden z trzech królów, których endowana gwiazda przywiodła do Betleem, a mia owicie król północnego ludu Seytów, zawadził, wracając do domu, o Polskę. Panować w niej miał niby natenczas Lech, ów sławny Lech, co to — wedle poania — znalazł w pustkowiu łosnem gniazdo białych orłów i założył w tem miejscu sławne miasto Gniezno, pierwszą stolicę polską. Otóż znalazłszy się niespodzianie w nieznanym sobie kraju, ów król północy — jak pisze Słowacki — zaszedł w nasze żyta i

Zabłądził w zbożu, jak w lesie, bo zboże Rosło wysokie, jak las, w kraju Lecha;
Więc zbłądziwszy, rzekł: — „Wyprowadź Boże!“
Aż to przed nim odkrywa się strzecha
Królewskiej chaty, bo Lech mieszkał w chacie.
Wszedł do niej Seyta i rzekł: „Królu! Braci!“
Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
Twoich bławatków ciągle szła przedemną,
Aż tu z wiodła. „— Lech rzekł: „Zostań zemną,
Kraina moja szczęśliwa i bitna —
Jeśli chcesz, to się tą ziemią z tobą
Dzielić na połę. „— Seyta rzekł: „Zostanę,
Lech kraju nie chce, bo zi mię złamane
Rozgraniczają się krwią i załobą
Dzieci i matek.“ Więc razem zostali —
I jako dawniej czynili mojarze,
Z Lechem się mieniał Seyt na obrączki;
A pokohawszy mocniej se cem, w darze
Dał mu koronę — stąd nasza korona.
Zbawiciel niegdyś, wyci gając ręce i,
Szedł do niej z matki zadumanej łona
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka, z liści wychylona,
I wołał: „Caca!“ i na brylant biały
Różanych ustek perełkami świecił“.

Pięknie pisze Słowacki! A tę opowieść, chociaż z wyobraźni wysnutą, czytamy z żywym wzruszeniem, bo nam mówi o ziemi Lecha, ust o jonej w bujne żyta, w gwiazdy bławatków, wolnej, nie podzielonej, „szczęśliwej i bitnej.“ Mówi też o koronie polskiej, która przez długie wieki jaśniała chwałą i której nie plamyły ani krew podbitych narodów, jak gdyby na niej spoczywały, jak gdyby ją uświęcały oczy Zbawiciela, co poniósł śmierć męczeńską za wolność ludów.

Ku czci Adama Mickiewicza. Lwowska młodzież akademicka uczciła w końcu grudnia z. r. pamięć Mickiewicza uroczystym a serdecznym obchodem. Najważniejszym punktem programu było przemówienie prezesa Czytelni Akademickiej, p. Tadusza Moszyńskiego. Mowa zaznaczył najpierw że celem najwyższym, najświętszym dla młodzieży jest wolność i niepodległość Polski, a zadaniem najbliższem w dążeniu do tego celu — praca dla

dobra ludu. Tę myśl ostatnią, — myśl że praca dla ludu jest obowiązkiem i szczęściem zarazem, p. Moszyński wypowiedział w słowach następujących:

„Szczęśliwi, którzy mogą za lud się poświęcić!“ wołał niegdyś Słowaeki. Za lud! I któżby z nas nie chciał za lud się poświęcić? Ktoby nie pragnął, by ten lud, w którym nasza siła, nadzieja i przyszłość spoczywa, stanął silnie w zwartym szeregu okok nas. by nas pojął, by zrozumiał nasze cele i dążności?

„Ktoby nie dążył, by między nami a braćmi naszymi od pąga i młota zapanowały stosunki na wzajemnem zaufaniu i zrozumieniu oparte?”

„Ktoby nie zechciał wyżyć siłą, by cała oświecona część naszego społeczeństwa, a szczególnie młodzież nasza po ukończeniu nauk, zwróciła się do pracy nad oświatą, narodowem uświadomieniem i poprawą bytu ludu naszego?”

„Więc dążność do wzbogacenia naszej wiedzy i rozumienia potrzeb całego społeczeństwa, a przedewszystkiem ludu naszego, — dążność do podniesienia, oświecenia i uszlachetnienia warstw ludowych, dążność, by im „świecić czynu tarczą własną“: dążność do ścisłego zbratania całego naszego społeczeństwa — to nasz program na dziś, a ostatecznym jego celem w tym kierunku: na zasadach wolności, równości i bezwzględnej sprawiedliwości społecznej oparta Polska postępową i demokratyczną“.

Tyle słów przedstawiciela młodzieży. Licznie zgromadzona na obchodzie publiczność dziękowała za nie oklaskami, a lud polski sercem dziękować będzie kiedyś tym, którzy tak myślą, czują i te szlachetne uczucia, te myśli swoje czynami stwierdzają.

Wydawnictwo ku czci Sienkiewicza

W dniu jubileuszowym wielkiego pisarza powstało w Poznaniu nowe wydawnictwo pt. „Wielkopolskie nazwy polne“. Stanowiąc one będzie dokładny wykaz nazw pól polskich, łąk, lasów, wzgórz, dróg, jezior itp. w Poznańskim. „Oby kiedyś — czytamy w zakończeniu przedmowy do wydawnictwa — ziemia, odzyskana znów przez pilność i pracowitość polską, zarazem odzyskać mogła z kodeksu naszego wszędzie zdobyci swych nazw, przechowane w tej pamiętce jubileuszowej dla mistrza słowa polskiego. Odnowione, nich potem trwają wiecznie!“

Głos górali śląskich do Sienkiewicza.

Gospodarze ze wsi Izdebniej na Śląsku, która to wieś staje się głośnieją z zamiłowania swego do oświaty i z uczuć obywatelskich, — wysłali do sławnego pisarza na jubileusz serdeczny list z powinszowaniem i życzeniami. List ów w skróceniu tak brzmi:

„Do Wielmożnego Pana Henryka Sienkiewicza w Warszawie.

W oddaleniu od Warszawy my, górale na śląskiej ziemi, założyliśmy kółko rolnicze w gminie Izdebniej, przytem i czytelnię. Otrzymaliśmy od braci z Galicji sporą sumę książek, jako dar. Otóż nasz ludek, zwłaszcza ten młodszy, wziął się do czytania, co wykażę w zapisanej książce. Ja, Jan Juroszek, przewodniczący Kółka rolniczego i czytelnii. Który przyjdzie, pyta książki do czytania, zawsze prosi, abym mu wypożyczał wydanie W. P. Sienkiewicza, że to najlepsze do wyrozumienia. Doszła nas teraz wiadomość, że w Warszawie będą robić obchód Jubileuszowy W. P. Sienkiewiczowi za jego gorliwą pracę, z którejśmy w górach na Śląsku już wiele dobrego dźniali, bo te dzieła wiele nam korzyści przyniosły. Bo te książki, który czytał, ten jest innym duchem przejęty. Po wszelakich zgromadzeniach już się mówi o rozmaitych historjach, a który pilnuje czytania, to się zaraz pyta: „Jakie książki czytacie, którego wydania? I najeźściej słyżysz odpowiedź: „Henryka Sienkiewicza.“ A drugi mówi: „Ja tobie o jego pisaniu coś innego powiem, to cię zaraz dreszcz będzie brał na krzywdę, którą nam już narobili, że taka wielka i sławna Polska upadła.“

Jakież tu życzenia przesłać naszemu W. P., aby go uczyć. Bogactwa nie posiadamy, ustnego życzenia nie możemy przynieść, aby uczynić radość, a przecież nasze serca czują coś...

Ja, w imieniu wszystkich czytelników i czytelniczek, składam z najgłębszą uniżonością najprzód: aby Bóg raczył dać W. Panu najlepsze zdrowie i długi wiek życia, szczęśliwe powodzenie, aby się ta praca gorliwa stała złotem na całym świecie. aby ten głos, który będzie na jubileusz w Warszawie dawał ludek W. P., przyszedł do naszej ziemi.

Niechże W. Pan raczy przyjąć te nasze skromne powinszowanie jubileuszowe i nie gardzić temi prostemi słowami, wszak one są z samego serca. Kończę moich parę słów, a zostawiam najniższemu służy.

Jan Juroszek, prezes Kółka rolniczego, czytelnii i radny gminski. *Paweł Juroszek*, przełożony gminy. *Tomasz i Jan Legerscy*, radni“.

Sienkiewicz o sobie. W rodzie moim przeważały wojskowe tradycje — mówił kiedyś Sienkiewicz w rozmowie ze znajomymi, — po mieczu mam przodków żołnierzy przeważnie; dziadek mój, Józef Sienkiewicz, podpułkownik byłych wojsk polskich, walczył pod Napoleonem.

Od dzieciństwa wzrastałem w tych tradycjach; starszy mój brat odziedziczył żyłkę wojskową, przed laty wyemigrował do Francji i zginął podczas wojny francuzko-pruskiej. Skłonność

do pióra i literatury mam chyba po kądzieli. Pradziad mój z linii macierzyńskiej, który przez lat 56 nosił biskupią infułę, pisał i drukował wiele. Moja matka, Stefanja Cieciszewska z domu, bawiła się piórem i pisaniem wierszy. Ojciec mój wszelako, Józef Sienkiewicz, był ziemianinem; gospodarował na roli, a pod koniec życia przeniósł się do Warszawy. Ja zaś urodziłem się w domu babki mojej, w Woli Okrzejskiej, w powiecie łukowskim i lata dziecięce spędziłem na wsi; jeździłem długo jeszcze na wieś, już po wstąpieniu do gimnazjum w Warszawie, na każde wakacje i dlatego tak dobrze poznałem lud i język ludowy. Pierwsze moje wrażenia wsi i przyrody przywizały mnie też do ziemi i do ludu, a zamiłowanie do literatury rozwinęły we mnie stare księgi, których pełny kufer znalazłem u babki na strychu i dzięki im, jako dzieciak jeszcze, zapoznałem się najpierw z pisarzami złotego wieku: Rejem, Kochanowskim, Górnickim, Skargą, Birkowskim, Orzechowskim i innymi. To byli pierwsi moi nauczyciele polskiego języka!!!

Tyłu drogich gości, co podczas jubileuszu Sienkiewicza, Warszawa nie widziała od uroczystości Mickiewiczowskiej. Zjechali się ludzie zewsząd, ze wszystkich ziem polskich, jak gdyby te ziemie nie były rozdarte, jak gdyby ich nie dzieliły granice. Z Litwy przybyły formalne tłumy, z Ukrainy też nie mało. Galicja wysłała swoich przedstawicieli z głównych miast. — Wielkopolska także, a nawet kresy dalekie, nawet Śląsk górny, przed sześciu wiekami oderwany od Macierzy, zaznaczył swą łączność z całym narodem.

Z tego właśnie górnego Śląska, gdzie lud tak się budzi, tak garnie do oświaty, — gdzie gazetki ludowe mają po kilkanaście tysięcy czytelników, przybył na jubileusz do Warszawy redaktor „Gazety Opolskiej“, p. Koraczewski. Przywiozł on Jubilatowi, jako dar drogi, adres od ludu górnośląskiego, opatrzony podpisów tysiącami z różnych stron Śląska, a także Westfalji. Adres ów podpisali również redaktorowie innych pism górnośląskich, podpisała go też licznie młodzież górnośląska, kształcąca się w mieście Wrocławiu.

Polacy, zamieszkali w Kijowie, nadesłali przez swego przedstawiciela album z widokami Kijowa, oprawne w blachę srebrną. Przedstawiciele miasta Wilna wręczyli album z 1,800 podpisami. Okładkę wspaniałej księgi zdoła srebrna gwiazda i napis: „Henrykowi Sienkiewiczowi“.

Zaiste, otucha wstępuje w serce, na widok, że wspólne uczucia ożywiają ludzi nad Wisłą, Wartą, Niemnem i wszędy, gdzie rozbrzmiewa piękna a droga mowa polska.

Prośba do Redakcji. „Gdy będą posyłać „Zorzę“ na świat cały, niech raczą i mnie też posłać kawałeczek mały, bom się barz rozmiłowałem z tą przepiękną „Zorzą“, od której czytania oczy się otworzą. Wszystko się człowiek dowie, czego tylko pragnie, umie sobie poradzić na największym bagnie. A ten, co nie nie czyta, ten ciemny zostaje, ale „Zorza“ rękę swą każdemu podaje... Kłaniam się nisko w tym nowym roku, Jakób Bednarczyk, Polak w Landoku“.



Odpowiedzi od Redakcji.

Za listy świąteczne i noworoczne dziękuję wszystkim Szanownym Czytelnikom i życzę nawzajem, aby Gwiazda trzeciokrólowa, zwiastunka zbawienia, błysnęła w nowym stuleciu wspanialszym, niż dotąd, blaskiem i rozjaśniła ciemność, która zalega jeszcze ziemię.

P. Kołostany Kościński w Prusach Zachodnich. Wszystkie numery „Zorzy“, od początku, wysłał mi natychmiast. Więc to synkowi pańskiemu podobała się gazetka? więc to on zaprasza ją do siebie? — Bardzo to gościnne z jego strony; mnie ta gościnność sprawiała tym żywszą radość, że to było pierwsze zamówienie z Prus Zachodnich. A myślę często tam biegać, podobnie jak i na inne kresy ojezyczne, które wymagają straży czujnej, a wiernej i mocnej...

P. Pelagja Wieczorkiewicz w W. Księstwie Poznańskim. „Zorza“ marzyła zawsze, od chwili powstania, o sławnej i drogiej ziemi, co Białe Orły wydała, lecz dziś, wezwana, wybiera się tam w gości po raz pierwszy. Wybiera się z radością, ale i trwogą zarazem, bo nie wie, jak jej powiodzie się, będzie nad Wartą: czy podoba się tam Czytelnikom, czy potrafi wkraść się choć trochę do serca dobrych ludzi?...

P. Leontyna Jezierska w L.
Za wielką życzliwość dla gazetki i jej rozpowszechnianie dzięki stokrotce. Zapominać nie umiem, pamiętam więc wszystko. A najlepiej, najserdeczniej pamiętam szczerą uprzejmość, której doznawaliśmy w białym domku, tonącym w zieleni dzikiego wina. Wszakiej pomyślności w roku nowym!

P. Franciszek Orawiec w Poroninie. Obrazek, przypominający nasze góry, nasze Tatry wspaniałe, zrobił mi dużą uciesę, ale życzliwość całej rodziny, w onych górach mieszkającej, jeszcze większą. Pięknie dziękuję.

P. Michał Twaróg w S. hodniey. Oba długie listy z dobrimi wiadomościami otrzymałam w swoim czasie z prawdziwą radością. Sądzę, że Pan nie chowa do mnie urazy za postąpienie wbrew Jego woli. Ale czemużby nie stwierdzić własnym podpisem dobrych myśli, słusznych uwag?...

P. Wojciech Zawada w Dąbrowicy. Jak to szczęśliwie, że mili Czytelnicy o gazetce pamiętają i śpiewają piosenkę za piosenką! Ale „Zorz.“

rada widzi i prozę. Owszem, bardzo o nią prosili Was, Panie Wojciechu i innych łaskawych przyjaciół.

P. Ludwik Musioł w Cieszynie. Bardzo to uprzejmie ze strony Waszej, Panie, że tak od pierwszej chwili znajomości, chcecie mieć wszystkie numery gazetki. Byle się jeno podobały!

P. M. Bernatowicz w Krakowie. Za słowa otuchy dziękuję i cieszę się, że dzięki pośrednictwu ludzi dobrej woli gazetka trafia do tych właśnie, dla których jest przeznaczona.

P. Józefa Krzyszkówna w Głębokiej. Nie wątpiłam nigdy, że kobiety chętnie i energicznie przykładają rękę do każdej dobrej sprawy, a teraz doświadczenie własne coraz bardziej utwierdza mnie w tym przekonaniu.

P. Jan Semeniszyn w Cebroniu Czynnąc zażądaniu, powiadamiam, żeśmy otrzymali prenumeratę na obie gazetki w kwocie 4 koron 86 h., a przy tej sposobności życzę szczerze pomyślnego roku.



Od Administracji.

Wobec tego, że prawie wszyscy nowi Czytelnicy zamawiają także „Zorzę“ z ubiegłego roku, powtarzamy raz jeszcze, że pierwszy rocznik kosztuje wraz z przesyłką pocztową **36 halerzy**. Kompletów pierwszego rocznika mamy jeszcze parę setek.

Następny numer „Zorzy“ wyjdzie 2. lutego, na Matkę Boską gromniczną. Roześliśmy go wszystkim, którzy zamówili gazetkę. Kto więc nie otrzyma, niech reklamuje. Reklamacje piszą się, jak następuje: Nie otrzymałem (tu wymienić numer) „Zorzy“. U dołu należy położyć swój podpis. Reklamację po zaadresowaniu oddaje się na pocztę **bez marki** pocztowej.

Treść numeru: Z Nowym Rokiem. — Jubileusz Sienkiewicza. — Obchód jubileuszu w Warszawie. Święto Sienkiewicza w Poznaniu — Uroczystości Sienkiewicza we Lwowie — Sabalowa Bajka. — Hold Krakowa Jubilatowi. — Janko Muzykant. — Ofiary Polki. — Listy do „Zorzy“. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od Redakcji. — Od Administracji.